

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

4

Skrzyneckiemu w oczach pociemniało. Toć sen, sen mamiący przeżywał, toć mara złośliwa opanowała go i ludziła w momencie ostatnim, w chwili, gdy wieża ostrołęcka płonęła, niby gromnica, nad ciałem konającej sprawy.

Tymczasem nieznana, tajemnicza artyleria już poraz piąty i szósty morderczą dała salwę i salwę bezkarną, bo działa rosyjskie niosły ponad nią, bo nie zdążyły rozpoznać niespodziewanego przeciwnika, bo pasma własnej ich piechoty były tej nieznanej artylerii tarcią.

Czworoboki po trzykroć zdołały się zewrzeć, zeszlusować, zemknąć i od prawego się odliczywszy, rzucić naprzód, lecz wnet potargane, rozdarte ustawały, łamały się.

Pahlen kazał bębnić na odwrót. Piechota rzuciła się w tył za nasyp gościńca. Baterie Dubicza wzięły na cel. Lecz jednocześnie tajemnicza artyleria już się sprzęgła, już mlasnęła batami i już na prawą stronę pozycyi Skrzyneckiego, ku Omulewowi, pomknęła i w chwili, kiedy baterie feldmarszałka ryły kartaczami opustoszałe już stanowisko tajemniczej artylerii, ta z przeciwnej strony nowe hekatombie wybierać zaczęła.

Bitwa w oka mgnieniu przeszła w pojedynek armat. W pojedynek, dający niezawodną z pozoru przewagę dziesięćkroć liczniejszej baterii feldmarszałka, baterii, bądź na szaniecu przedmostowym ustawionych, bądź zatoczonych na górujący nad prawym brzegiem, lewy brzeg rzeki i silnymi przedpierszeniami osłoniętych. A jednak już po kilkunastu minutach, piechota rosyjska jęła cofać się pośpiesznie za rzekę, a jednak ogień działowy feldmarszałka słabł, tracił na mocy, na liczbie głosów piekielnego chóru i coraz wolniejsze wybijał tempo.

Ale bo też istne лихо dowodzić musiało dwunastu armatami tajemniczej artylerii na prawym brzegu. Armaty te bowiem, miast według wojskowej sztuki rozeprzeć się na pozycyi i strzelać raz za razem czworakami czy pełnym szeregiem, czy kolejno uderzać a cel rychtować, pędziły z krawca linii bojowej na kraniec, dzieliły się, rozpadały na dzwona, ziały pociskami i ze wzgórza piaszczystego i z poza wikliny nadbrzeżnej i z pod zagajnika, raz w środek mostu, raz w baterie, raz zdala, przy najwyższym podniesieniu armatnich wysuwów, raz zbliżając i na ostro przez metal, a raz tuż, rykoszetowymi strzały.

Daremnie podczas baterie Dybica czaiły się na tajemniczego napastnika, daremnie czyhały z zapalonymi lontami, aby go wypatrzyć, aby go zadławić. Napastnik w oczach ginał i gdy go szukano lunetami a granatami macano w wiklinie, on pluł z pod lasku, gdy ku laskowi nawracano silnie działowe, on już w wiklinie, z przeciwnej strony, odprzodkował armaty.

Niedobitki wojska polskiego, kupiące się przy Skrzyneckim drgnęły, i huknęły szalonym wivatem, pędząc znowu tuż przed ich frontem artylerii.

— Gwardyacka bateria! — zakrzyknięto w szeregach — Bem! Bem!! — podchwycili adjutanci.

— Wivat Bem!

Bateria na podziękowanie zdarła konie, zakreśliła i niemal między ariergardą tyralierów rosyjskich zatoczyła armaty.

Tyralierzy rzucili się na kanonierów... Wszczął się zgiełk. Skrzynecki skoczył z piechotą na odsiecz, lecz nim dosięgnął utarczki, już zabrzmiął stalowy głos.

— Czternasty stopień! Z rykoszetu ceel-pal!

Bateria ryknęła. Stado kartaczy wyrwało się ze szpizowych gardzieli i bluznęło między tyralierów...

Szczątki ariergardy potoczyły się ku mostowi. Skrzynecki dopadł baterii.

— Bem! Gdzie Bem! Podpułkownik okryłeś się chwałą! Ocaliłeś nas!! Patrz tam, na lewo za mokradłami, tam zatocz, tu nie wytrzymasz!...

Mała, zgarbiona figurka Bema, za całą odpowiedź pochylała się na konia ku trębaczom. Trąbki chrapnęły dyszkantem, kanonierzy zarzucili łożyska na haki przodków, bateria ruszyła...

Wódz naczelny zdumiał się takiej sprawności. Ale nim się zorientował, czyli Bem dobrze rozkaz pojął, bateria gwardyacka już na przyczółku mostowym, a więc na sto kroków od bagnatów Pahleny rychtowała armaty...

— Nie, karność — samowola! — mruknął do siebie Skrzynecki. — Hej tam mości... adjutancie!...

— Saperzy pod mostem!

— Ruszaj do podpułkownika Bema z nominacją na pułkownika!

Adjutant śmignął do przyczółka.

— Podpułkownik Bem! Gdzie podpułkownik? Rozkaz wodza! — nawoływał gorączkowo adjutant kołując za armatami.

— Czego do stu piorunów?



W kącie na poły rozwalonej stodółki do posiłku się zabrał.

— Wódz naczelny mianuje cię pułkownikiem! — Precz stąd! Nie przeszkadzać! Orlikowski, pół baterią zaczynaj! Ceel!... Al!... Dobra nasza! Jabłonowski zakładaj przodki!... Pół bateria wysówki do osmnastej linii... Ceel! Al!...

Armaty umilkły nad brzegami Narwi. Łuna ponad Ostrołęką ciemniała, gasła. Dudnienie tarabánów i zawodzenie trąbek uciszało trzask karabinów.

Bitwa była skończona.

Wódz naczelny ścisnął gorąco Bema.

— Tyś ocalił nas, tyś, podpułkowniku uchronił od klęski nad klęskami!

— Chcesz powiedzieć, generale, że zdołałem wystrzelać naboje, które od rana wyglądały rozkaz.

— Nie przesadzaj skromnością, zarobiłeś rzeźnię na wdzięczność nie tylko moją, ale całego narodu! Pomyśl, co by się stało z nami, gdyby nie twoja bateria!

Bem spojrzał w stronę, kędy gromada żołnierzy ładowała na wozy ciała poległych.

— Chyba nic gorszego staćby się nie mogło...

— Masz słusność, pułkowniku — przyznał głucho wódz naczelny — dziś rozstrzygnęły się losy nie tylko bitwy, nie tylko wojny... Najdziel-

niejsze pułki, kwiat oficerów, czoło naszej armii, nadzieja i chwała narodu legła tu... Lęk, lęk mnie zdejmuję pytać, kto żywy!...

Bem nic nie odrzekł. Skrzynecki, z właściwą sobie zapalczywością, z niedawnego ukontentowania staczał się po pochyłości własnych słów, ku rozterce, ku przygnębieniu.

— Daremnie wypominać tych, co zawinili! Tak, tak, masz stokroć słusność, pułkowniku, nie gorszego stać się nie mogło... Gdyby nas co do nogi, w pień wycięto, lżejby nam było, niż się wlec ku Warszawie... Wszystko, wszystko poszło w niewiecz!... Cóż nam pozostaje, — tu wytrwać, resztki zebrać i o świcie zacząć drugą bitwę...

— Nie posiadamy amunicji.

— W naszym położeniu i bez amunicji możemy się obejść...

— Lecz, panie generale, jakąż korzyść z tak desperackiej bitwy!

— Korzyść? — podchwycił z uniesieniem Skrzynecki — więc, pułkownik, jeszcze o korzyściach roisz? Chyba nie ogarniasz, że ponieśliśmy klęskę haniebną, klęskę nad klęskami! Chyba nie pojmujesz, że miano tej klęski... finis Poloniae! Tak, tak, finis, finis i tym razem niezawodny, nieublagany...

— Jak dla kogo! — mruknął Bem przez zęby.

Wódz naczelny drgnął i wyprostował się dumnie.

— Chwali się pułkownikowi zaufanie. Spodziewałem się go po tobie. Opatrz swoją baterię i miej w pogotowiu na pozycyi przed mostem omuleńskim...

Tu Skrzynecki skinął wyniosłe Bemowi i zawrócił ku widniejącej w pobliżu gromadce sztabowców. Bem atoli zastąpił mu drogę.

— Generale, pozwól...

— Słucham, o cóż idzie?

— Z łaskawych słów pana generała czerpię śmiałość, abys raczył na moją baterię cztery krzyże wyznaczyć...

— Krzyże! I tak za wiele ich rozdajemy.

— Moja bateria nie otrzymała dotąd żadnego.

— Twoja bateria! — Jest takich więcej. Nie wiem, zobaczymy. Pora nie właściwa, niema krzyżów za przegrane bitwy. Złóż pułkownik raport do sztabu brygady...

— Jednakże...

— Do sztabu brygady! — powtórzył niecierpliwie Skrzynecki i odszedł.

Bem stał przez chwilę, jak wryty w ziemię, jakby słowami wodza ogłuszony, aż zachnął się i powlókł w stronę, spoczywającej pod zagajnikiem baterii.

Aliści, zaledwie z mroków nocy wyłonił się ku pułkownikowi czarny kadłub pierwszego działu, znużenie snąc nagle zdjęło Bema, gdyż przysiadł na kamionce, głowę na rękę wsparł i zapadł w odrętwienie. Trwało ono jednak nie długo, bo pod zagajnikami wnet buchnął żwawy płomień obozowego ogniska i przygasła źrenice Bema światłem napłynął.

Pułkownik dzwignął się, lecz nim się wyprostować zdołał, wzrok jego rozeznał wdali, w blasku ogniska, płową czuprynę podoficera Ilińskiego. Bem zawałał się i osunął znów na kamionkę.

Ani wątpić, że Iliński! Najdzielniejszy z jego podkomendnych. Innym wprowadzić nie można! Szli a trzymali się jak stare wygi, choćby Zarzycki. Miarę w lot chwytą, ale sam niedalekiego lotu! Lecz Iliński! Panicz, smarkacz, magnacik, a zawią armatą, niby panną na reducie... Potracił go — nieszkodliwie, bo łapą obandażowaną wymachując! A jak to, kiedy grenadyerzy opadli mu armatę, wyciorem zawiąnął po kaszkietach, a potem plunął im z granatnika, że cha, niby w garść pierza dmuchnął. Dzieciuch jeden!

(Dalszy ciąg nastąpi).